

Gimnazjum w ławkowym getcie

Publiczne szkoły powszechne w Polsce w latach trzydziestych XX wieku były otwarte dla dzieci z kategorii „mniejszości etnicznych”, ale już sytuacja w szkołach średnich była zróżnicowana, bowiem niektóre na wzór uniwersytetów stosowały selekcję na tle rasowym (*numerus clausus*). Przed drugą wojną światową polskie szkoły średnie kształciły dzieci klas średnich, przygotowując je do pracy w różnych zawodach – tym zajmowały się gimnazja niższe. Gimnazja wyższe natomiast były instytucjami dla wybranej grupy, która kontynuowała naukę do matury. Bauman jak większość dobrych uczniów aspirował do „długiego studiowania” i dlatego po szóstej klasie szkoły podstawowej przystąpił do egzaminu wstępnego do gimnazjum. W Poznaniu tylko dwie szkoły (w przywoływanym tu rękopisie Zygmunt Bauman podaje, że jedna) dawały możliwość wybranym żydowskim uczniom kontynuowania nauki w publicznej instytucji – oczywiście w ścisłym limicie określonym przez *numerus clausus*. Kandydaci przechodzili bardzo rygorystyczne egzaminy, które pozostawały na długo w pamięci uczniów. Zygmunt Bauman pięćdziesiąt lat później w następujący sposób opisał swą egzaminacyjną treść, która nieomal była przyczyną porażki:

W tydzień po pisemnych przyszła moja kolej na egzaminy ustne. Dyrektor gimnazjum siedział na podium i miał przed sobą nasze prace pisemne. Kazano mi usiąść w ławce obok Profesora (tak tytułowano wtedy nauczycieli gimnazjalnych), który przeprowadzał egzamin. Umierałem ze strachu, trzęsłem się i nie bardzo wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Egzaminator traktował mnie z chłodną uprzejmością i najwyraźniej nie obchodził go stan moich nerwów. Zadanie było proste: „opisz swoją codzienną drogę do szkoły”. Zaskoczyło mnie to. Oczekiwałem, że będę musiał analizować do głębi niuanse jednego z klejnotów literatury polskiej albo zawiłości pogmatwanej polskiej historii. Zgadzałoby się to bardziej z moim wyobrażeniem gimnazjum jako świątyni mądrości. Nieoczekiwana łatwość zadania sprawiła, że siedziałem osłupiały, z trudem usiłując zebrać rozbiegane myśli. Pierwsze zdanie, które zdołałem wykrztusić, było katastrofą: zamiast powiedzieć, że mieszkam w narożnym domu, oznajmiłem: „mieszkam w narożnej ulicy”. Ujrzałem z przerażeniem złośliwy

uśmieszek wypełzający na twarz mojego oprawcy. Był najwyraźniej zadowolony. Myślał sobie pewnie z satysfakcją: „jak łatwo udało mi się pozbyć przynajmniej tego jednego!”. I za chwilę posłałby mnie do domu, gdyby nagle nie odezwał się Dyrektor. „Proszę mi wybaczyć, panie Profesorze”, powiedział, „ten chłopiec nie wymaga egzaminów ustnych. Otrzymał najwyższe oceny za obie prace pisemne i został już przyjęty”. Te słowa, kwaśny wyraz zawodu, jaki nagle zastąpił uśmiech tryumfu na twarzy egzaminatora, gwałtowne łomotanie mojego serca, łzy Matki, która na wpół żywa ze zdenerwowania czekała na korytarzu – wszystko razem stopiło się we mnie w zawrotne uczucie szczęścia i pozostało na zawsze najszczęśliwszym wspomnieniem z lat mojego dzieciństwa. To było pierwsze osiągnięcie, jakie zawdzięczałem wyłącznie własnemu wysiłkowi, pierwsze zwycięstwo odniesione wbrew przytłaczającym, nieubłaganym przeciwnościom losu⁶¹.

W taki oto sposób Zygmunt Bauman zapamiętał swoje przysłowiowe wielbłądzie przejście przez ucho igielne. W lecie 1938 roku został jednym z niewielu żydowskich chłopców zaliczonych w poczet uczniów gimnazjum państwowego w Poznaniu. Według archiwum szkolnego tej instytucji tylko pięciu z czterdziestu dziewięciu uczniów zrekrutowanych do klasy pierwszej A w 1938 roku⁶² było „narodowości żydowskiej”, czyli około 5% pierwszaków. Była to zarazem połowa średniego krajowego odsetka „narodowości żydowskiej w odniesieniu do populacji Polaków”. Akurat tego roku trzech z pięciu żydowskich uczniów pierwszej klasy powtarzało ją, co pozostawiało jedynie dwa wolne miejsca dla żydowskich kandydatów. Jedno z nich wywalczył Zygmunt.

W latach trzydziestych Gimnazjum im. Bergera było uważane za najlepszą męską szkołę średnią w Poznaniu i w całej Wielkopolsce. Według dokumentów źródłowych pióra założyciela tej instytucji – Gotthilfa Bergera – szkoła miała przyjmować uczniów bez względu na ich pochodzenie etniczne i religię. Możemy sobie wyobrazić, jak szczęśliwi byli rodzice Zygmunta, gdy się okazało, że ich jedyny syn stał się częścią tej elitarniej instytucji. Zygmunt także był szczęśliwy, ale szybko dowiedział się, że nawet ta elitarna szkoła nie podchodzi do wszystkich uczniów jednakowo. Traktowanie żydowskich uczniów w polskich gimnazjach państwowych było zdeterminowane zasadą *numerus clausus*, a także wiązało się ze

społecznym ostracyzmem i antysemityzmem wyrażanymi otwarcie przez nauczycieli i kolegów z klasy⁶³. Niestety, Gimnazjum im. Bergera nie różniło się od innych polskich szkół w tym względzie.

W kilka dni później nadszedł wielki dzień. Pękając z dumy w bergerowskiej czapce gimnazjalnej, która w sposób widomy i niezaprzeczalny świadczyła o mojej promocji do rangi członka znakomitej polskiej inteligencji, dotarłem do drzwi pierwszej klasy. Nie zdążyłem jeszcze przekroczyć progu, gdy spadła na mnie lawina kuksańców i kopniaków. Ciągnięty i popychany, straciłem kontrolę nad własnymi nogami i posuwałem się – a raczej byłem posuwany – w kierunku odległego kąta po lewej stronie klasy. Czyjeś ręce cisnęły mnie wreszcie na ławkę w ostatnim rzędzie. „Tu jest twoje miejsce, ty Żydzie, i ani się waż szukać lepszego”.

Kilka minut trwało, nim oprzytomniałem. W klasie panował nadal wielki hałas i zamieszanie. Dopiero po chwili zauważyłem, że w getcie, do którego dostałem przydział, nie będę samotny. Z kłębowiska wściekłych twarzy, poskręcanych ciał, fruujących pięści wyłaniały się jakieś chwiejne postacie, które – jedną po drugiej – ciskano na ławki w ostatnim rzędzie. Kiedy dzięki pojawieniu się wychowawcy w klasie zapanował wreszcie spokój, rozejrzałem się dookoła i spostrzegłem cztery pobladłe twarze. Prócz mnie czterej inni chłopcy ukradkiem zerkali na siebie nawzajem. Czterej inni chłopcy o oczach mokrych od łez wstydu unikali wzroku tych, którzy byli świadkami ich poniżenia⁶⁴.

Zygmunt Bauman nie był już jedynym Żydem w klasie. Teraz dołączył do innych, którzy marzyli o staniu się częścią elity – młodym kwiatem polskiej inteligencji. Przyjęcie pierwszego dnia i to, co potem nastąpiło, miało na celu podcięcie skrzydeł, zniszczenie marzeń o równości i pozbawienie godności. Był to silny sygnał, że jako Żydzi nie są pełnoprawnymi członkami uczniowskiej społeczności. Tym silniejszy, że pochodził od tej społeczności, uczniów i kadry nauczycielskiej.

O ile mi wiadomo, żaden z nauczycieli nie kwestionował narzuconego nam zamknięcia w getcie. Niektórzy z nich starali się wyrazić aprobatę, traktując rezydentów getta w specjalny sposób. Nauczyciel literatury polskiej, na przykład, zadawszy całej klasie szczególnie podchwytliwe

pytanie, ich przede wszystkim, jednego po drugim, wzywał do odpowiedzi. Podobnie jak sędziowie w konkursach piękności robił to w odwrotnej kolejności: zaczynał od najmniej zdolnego żydowskiego chłopca, który miał znikomą szansę udzielenia prawidłowej odpowiedzi, po to, aby mieć pewność, że żydowska ciemnota będzie w pełni zdemaskowana. Miło mi donieść, że byłem ostatnim spośród branych na spytki, i że zwykle na mnie cała ta heca kończyła się – z braku innych Żydów oczywiście, ale także dlatego iż w wielkiej mierze ulegała tu podważeniu teza o zbiorowej niezdolności żydowskiej rasy do zgłębienia tajników literatury polskiej.

Podobną taktykę stosował nauczyciel matematyki, chociaż czego chciał w ten sposób dowieść, było mniej oczywiste. Nauczyciel geografii podał do wiadomości publicznej, że wiedza, jaką posiadają Żydzi, musi być zdobywana w nie całkiem uczciwy sposób. Z tej przyczyny stawiał im niższe stopnie niż nieżydowskim uczniom o podobnej wiedzy. Nie potrafiłem odpokutować jedyne błąd w dziedzinie geografii, jaki zrobiłem w ciągu całego roku szkolnego (wymieniając niewłaściwe minerały, z których zbudowane są Góry Świętokrzyskie), i na zakończenie pierwszej klasy otrzymałem zaledwie dostateczny stopień z tego przedmiotu. Niektórzy nauczyciele wszakże rozmyślnie ignorowali niewidzialne mury getta. Zwłaszcza nauczyciel historii wyraźnie wstydził się nauczać w tak podzielonej klasie. Zróżnicowanie postaw nauczycieli miało niemal dokładne odbicie w postawach uczniów. A przecież nikt spośród moich nauczycieli czy też kolegów nie-Żydów nie próbował przeciwstawić się „życiowym faktom”. Podział był solidny i trwały, gdyż ci, którym na nim zależało, byli aktywni, podczas gdy ci, którzy go nie uznawali, przyglądali się tylko⁶⁵.

Solidny i stały podział znajdował odzwierciedlenie w ocenach uczniów tego gimnazjum, w którym promocja do następnej klasy była nie lada wyzwaniem. Ośmioro z czterdziestu dziewięciu uczniów w klasie Bauma na nie ukończyło pierwszego roku (jeden z powodu złego stanu zdrowia, inny ze względów finansowych, a pozostali zrezygnowali z nauki). Średnia ocena w skali od 2 do 5 wynosiła 3. Jedynie sześciu uczniów uzyskało średnią ocenę dobrą, a tylko jeden uzyskał ogólną ocenę bardzo dobrą. Zygmunt Bauman zajął drugie miejsce w swej klasie. Pomimo tego był przekonany o byciu dyskryminowanym przez nauczycieli. Jeden z nich

wyjaśnił Zygmuntowi, że chciałby wystawić mu najlepszą ocenę, ponieważ na to zasłużył, ale nie mógł, co uzasadniał w następujący sposób: „(...) bardzo dobrze rozumiesz, że z twoim pochodzeniem jest to niemożliwe. Nie możesz być najlepszy w klasie. To miejsce jest zarezerwowane dla polskiego ucznia”⁶⁶.

Można tę specyficzną logikę zestawzić ze stopniami z poszczególnych przedmiotów, porównując oceny Baumana oraz prymusa z jego klasy. Najwyższą pozycję uzyskał Kazimierz Skrzypczak ze średnią ocen 4,4, a Zygmunt otrzymał 4,0. Skrzypczak pod koniec roku miał najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem wychowania fizycznego, rysunku i prac ręcznych.

Bauman nie był w stanie uzyskać najlepszej oceny z religii (której nauczanie koncentrowało się na katolicyzmie). Średnią zaniżały także geografia (na koniec roku miał 4, a nie 3, jak pisze w maszynopisie – trójka była oceną półroczną) i rysunek (także czwórka). Najprawdopodobniej wspomniany w maszynopisie nauczyciel geografii, wierzący, że żydowscy uczniowie nie zdobyli swojej wiedzy w sposób „całkowicie uczciwy”, mógł niesprawiedliwie ocenić postępy Zygmunta (tego nie można już zbadać). Natomiast z pewnością Bauman nie był dyskryminowany przez wychowawcę klasy, który postawił mu na koniec roku piątkę z zachowania. Piątki otrzymał również z języka polskiego, historii, łaciny, biologii i matematyki. Interesujące jest to, że Bauman zaczął uczyć się angielskiego w gimnazjum – w czasach, gdy nie był to najbardziej popularny język obcy w Polsce – i uzyskał z niego najwyższą ocenę. Z gimnastyki i prac ręcznych Bauman otrzymał dostateczny, co zdaje się potwierdzać stereotyp nerda skupionego na nauce i mało sprawnego fizycznie i manualnie.

Tak więc Bauman nie był prymusem klasowym, był drugim uczniem, zgodnie z powszechnym przekonaniem o niższości żydowskich uczniów: niezależnie od jakości wykonanej pracy pierwsze miejsce w klasie było zarezerwowane dla nie-Żydów. Był to „naturalny fakt życia” – jak cynicznie określił Bauman tę permanentną dyskryminację. Była to konieczna część negatywnego obrazu społeczności żydowskiej przekazywana przez polskie szkoły. Ten „naturalny fakt życia” czy też dyskryminacyjny porządek znajdował odzwierciedlenie w podręcznikach szkolnych. Historyk Kamil Kijek pisał, że w podręcznikach szkół publicznych w niższych klasach mniejszości narodowe w ogóle się nie pojawiały, natomiast w wyższych klasach Żydów przedstawiano w sposób jednoznacznie negatywny. Żyd

był prezentowany jako „obcy”. Te teksty umieszczone w podręcznikach nie przedstawiały Żydów jako zwykłych obywateli lub pełnoprawnych członków wspólnoty, którą nazywano ojczyzną⁶⁷.

W szkole średniej sytuacja Baumana jednocześnie się poprawiła i pogorszyła. Pogorszenie nastąpiło na skutek o wiele bardziej agresywnego traktowania przez rówieśników. Poprawa sytuacji związana natomiast była z obecnością innych szkolnych towarzyszy należących do tej samej prześladowanej grupy. To z nimi – niewielką grupą wykluczonych – Bauman mógł dzielić poczucie bycia napiętnowanym. Pięćdziesiąt lat po tych doświadczeniach pisał:

Należenie do pewnej grupy, pewnej kategorii, dzielenie z innymi narzuconej nam w sposób bezwzględny niedoli, radykalnie odmieniło moje życie. Przestałem nagle być odosobnionym przypadkiem, kimś zmuszonym do polegania na własnym rozumie i zdolnym liczyć wyłącznie na siebie. W moim życiu zaistniało teraz coś dziwnego: „wspólna sprawa”, a także „wspólna obrona”. (...) Jednakże najważniejsza zmiana polegała na tym, że byłem teraz otoczony przyjaciółmi – pewnymi, bo wyznaczonymi z góry (...). Nasze indywidualne losy, że tak powiem, związane były ze sobą na dobre i na złe. Nawet to, czy lubiliśmy się nawzajem, czy też nie, było bez znaczenia. Byliśmy razem niejako z urzędu. Nasz związek nie wynikał z miłości czy sympatii; raczej poprzedzał wszystkie uczucia. Czyniło go to solidnym w sposób, jakiego wcześniej nie znałem. Ale także, być może, nieco mniej ludzkim...⁶⁸

W wieku 13 lat, po zdaniu egzaminu i staniu się uczniem elitarnej szkoły, Bauman musiał się nauczyć także poczucia przynależności do grupy uczniowskiej „drugiej kategorii”. Piętnowanie rodziło poczucie „bycia gorszym”, osobą pozbawioną pewnych praw, co z kolei powodowało poczucie bycia „mniej ludzkim”. Wynikało ono głównie z tego, że agresorami nie byli chuligani czy jakież lokalne męty. To byli koledzy z klasy, którzy za przyzwoleniem lub dzięki brakowi reakcji nauczycieli dokonywali aktów przemocy, mających na celu utrzymanie tejże „naturalnej” segregacji.

Takiego stanu rzeczy w szkołach uczyły się zarówno ofiary, jak i agresorzy. Był to destrukcyjny proces, który przygotował ofiary na to, że będą atakowane, i uczył młodzież należącą do dominującej grupy, że uczniowie

zasiadający w gettowych ławkach nie są ludźmi. To była powszechna praktyka – „oczywista” i „naturalna”. Specyficzny podział ról na katów i ofiary... Szkoła odzwierciedlała reguły panujące w „dorosłym” społeczeństwie. Czy takie praktyki nie stanowiły przygotowań – swojego rodzaju prób generalnych – do pogromów, które w owym czasie wybuchały tu i ówdzie?

Rasizm podążał za Polakami-Żydami na każdym etapie ich życia: od urodzenia, przez szkołę, uniwersytet, po firmy i instytucje; był wszechobecny w życiu zawodowym, stowarzyszeniach profesjonalistów, zrzeszeniach kulturowych i innych grupach społecznych. Nic więc dziwnego, że w latach okupacji niemieckiej Polacy-Żydzi cierpieli z powodu wrogości lub zwykłej obojętności swoich sąsiadów. Przeszli oni bowiem przez doskonale implementowany proces dehumanizacji mający na celu przekształcenie ich – obywateli polskich, Polaków-Żydów – w kategorię „gorszych obywateli”. Ten proces rozpoczął się wiele lat przed drugą wojną światową i przyczynił się do Holokaustu⁶⁹.

Rasizm instytucjonalny rozprzestrzenił się codziennie, krok po kroku⁷⁰ – niosąc coraz to nowe ograniczenia. Ta wszechobecna i śmiertelna choroba zatrzymała nie tylko polskie społeczeństwo. Inne kraje europejskie także uległy urokowi faszystów i nacjonalistycznych ideologii. Każdy z nich – Niemcy, Włochy, Hiszpania, Polska, Rumunia, Węgry – marzył o swej wielkiej „Ojczyźnie” skomponowanej z obywateli „czystej” rasy – jednego pochodzenia etnicznego. To chore pragnienie doprowadziło do drugiej wojny światowej.

W Poznaniu niewiele było protestów przeciwko rasistowskim prawom i nieludzkiemu traktowaniu obywateli polskich należących do kategorii „narodowość żydowska”. Sytuacja znacznie pogorszyła się jesienią 1938 roku po nocy kryształowej⁷¹, gdy na skutek masowych prześladowań tysiące niemieckich Żydów opuściło swój kraj. Równolegle rząd niemiecki przeprowadził „Polenaktion”, w ramach której wypędził kilka tysięcy polskich obywateli – Żydów, wysiedlając ich na polsko-niemiecką granicę, gdzie większość z nich przebywała w obozie dla uchodźców w Zbąszyniu. Panowały tam straszne warunki: głód, brak dachu nad głową i brak możliwości opuszczenia tego miejsca, które stało się więzieniem tysięcy ludzi. Przyczyniło się to do licznych chorób i zgonów osób, które będąc obywatelami polskimi, nie miały prawa wjazdu na terytorium II Rzeczypospolitej. Przez kilka miesięcy, począwszy od

października 1938 roku, polski rząd piętrzył przeszkody, twierdząc, że uchodźcy z Niemiec nie są prawdziwymi obywatelami polskimi, ponieważ są Żydami⁷². Prasa endecka sączyła jad antysemityzmu, opowiadając historyjki z obozu w Zbąszyniu, które miały na celu wzbudzenie paniki i strachu przed masowym napływem polsko-niemiecko-żydowskich uchodźców. W kontekście znacznego bezrobocia i stopniowego wzrostu stopy opodatkowania wiadomości te tylko wzmacniały antysemityzm.

Poznań, oddalony o mniej więcej 80 kilometrów od Zbąszynia, był największym miastem w tej części Polski i atmosfera w nim była szczególnie nieprzyjazna dla osób postrzeganych jako niepolscy i niekatolicki mieszkańcy kraju. Ten antysemicki klimat był także obecny w Gimnazjum Bergera, niemniej jednak w obliczu kryzysu i tragedii uchodźców – ofiar „Polenaktion”, jak wspominał w swej książce Noach Lasman⁷³, kolega z klasy Baumana: „Dyrektor gimnazjum Bergera, profesor Konieczny, uznał za usprawiedliwioną nieobecność żydowskich uczniów pomagających uchodźcom. Zostaliśmy oficjalnie zwolnieni z nauki na nieokreślony czas, choć nie wiem, czy stało się tak z inicjatywy samego dyrektora, czy może na prośbę Zarządu Gminy albo poznańskiego rabina. Gmina natychmiast zarządziła zbiórkę pieniędzy na zakup żywności i jej przedstawiciele razem z pierwszą grupą młodzieży pojechali do Zbąszynia, chcąc się zorientować, jak i w czym można tam pomóc”⁷⁴. Nie wiadomo, czy Zygmunt uczestniczył w pomocy uchodźcom. Polegała ona także na przyjęciu we własnym domu kilku osób. Wymagało to wielkiego wysiłku, ale społeczność żydowska Poznania była świetnie zorganizowana. Lasman pisze, że w obliczu tragedii uchodźczej nawet najgorsze gazety antysemickie przycichły na chwilę⁷⁵. Ale zaniechanie szczucia nie trwało długo i poprzednie normy społeczne regulujące współżycie mieszkańców Poznania (tak jak i innych miejsc w Polsce) niebawem powróciły.

Szkoła odzwierciedlała otaczającą ją środowisko – antysemickie, rasistowskie zachowania traktowane były jako „oczywiste”; zdecydowana większość ludzi (zarówno prześladowający, jak i prześladowani) uważała je za naturalne. To była trudna lekcja, której Zygmunt Bauman doświadczył na początku swojego życia: uczniowie i nauczyciele mogą być rasistami i go dyskryminować. Nie było to doświadczenie wszystkich uczniów polsko-żydowskich mieszkających w Rzeczypospolitej. Podobnie jak w przypadku szkół powszechnych, również w instytucjach drugiego stopnia nauczania wielu członków żydowskiej społeczności uczyło się

do prowadzonych przez żydowskich nauczycieli szkół religijnych lub świeckich – dla tych uczniów szkoła nie była miejscem dyskryminacji rasowej. Niestety, elitarne szkoły średnie były najczęściej publiczne, a w nich prawa segregacji rasowej były stosowane w bardziej lub mniej zaawansowanej postaci. Zygmunt Bauman i jego rodzice odrzucali modele edukacyjne przeznaczone dla członków dyskryminowanych mniejszości. Jako obywatele polscy sięgnęli po polski, elitarny model edukacji i wiązała się z tym cena, jaką Zygmunt musiał zapłacić za bycie w murach kształcących polską inteligencję. Bauman nie był osamotniony w tym trudnym doświadczeniu i mógł je dzielić z małą grupą osób równie dyskryminowanych jak on. Z nimi też rozwijał marzenia o przyszłości pozbawionej podziałów na lepszych i gorszych członków danej społeczności.

Szomer w Haszomer Hacair

Organizacja Haszomer Hacair [pol. Młody Strażnik] (...) przyłączyła się do Hechalucu w Palestynie w 1925 r. (w Polsce w 1928 r.), uzyskując status autonomiczny. Haszomer Hacair należał do najbardziej wpływowych organizacji syjonistycznych w okresie międzywojennym, choć nie dążył do tego, by stać się ruchem masowym. Jego ideologia krystalizowała się w grupach młodzieży syjonistycznej na terenie Galicji jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej, później w zaborze rosyjskim. (...) Członek ruchu (hebr. *szomer*) miał obowiązek pracy na rzecz realizacji programu syjonistycznego przez wspieranie akcji żydowskich funduszy narodowych, samokształcenie (przede wszystkim opanowanie języka hebrajskiego) oraz aliję i pracę w rolniczym kolektywie w Palestynie. Haszomer Hacair stawiała sobie za cel wychowanie narodowej awangardy Żydów. Wyróżniała się budowaniem silnych i bliskich przyjaźni oraz poczucia braterstwa, tak że przynależność do ruchu mogła zastąpić jego członkom więzy rodzinne⁷⁶.

Bauman nie musiał zastępować życia rodzinnego przynależnością do organizacji. Niemniej jednak jak większość nastolatków, zwłaszcza dyskryminowanych w szkole, chętnie przystał do grupy takich jak on – uczniów z ławkowych gett. Zapisał się do syjonistycznej organizacji

młodzieżowej, której spotkania urządzano w dużej sali nieużywanej synagogi na rogu ulic Dominikańskiej i Szewskiej. Zebrania odbywały się w

nędznym, zapuszczonym pokoju, w jednym z budynków, jakie spokojnie kończyły swój długi żywot na kilku uliczkach pozostałych po dawnej dzielnicy żydowskiej. W pokoju zastałem grupę chłopców i dziewcząt mniej więcej w moim wieku. Tworzyli oni poznańską gałąź Haszomer Hacair.

Z tą chwilą w moim życiu nastąpiło wielkie zamieszanie. Należałem teraz do grupy, która zaakceptowała mnie tylko dlatego, że nie miała powodu mnie odprawić. W odróżnieniu ode mnie inni chłopcy i dziewczęta nie byli „szczególnymi przypadkami”: ja sam też przestałem wkrótce być „szczególnym przypadkiem”. Rozmawialiśmy, klóciliśmy się, tańczyliśmy, biliśmy się w sposób, który – jak dotąd sądziłem – przysługiwał tylko ludziom normalnym, a więc nie mnie. W tym pokoju o łuszczących się ścianach byłem wszystkim, czym nie mogłem być poza nim. Zjadłem zakazany owoc z drzewa wolności i olśniło mnie, że życie może być inne, niż było dotychczas – i to nie tylko dwa razy w tygodniu po południu. Świat przestał nagle wydawać mi się raz na zawsze określony i niewzruszalny. Dotąd miałem jedyny wybór: godzić się ze swoim życiem albo z nim się rozstać. Teraz poczułem, że mam już tego dosyć. Ale z życiem nie zamierzałem się rozstawać⁷⁷.

Grupa, do której przynależała, dała Baumanowi moc, przywróciła mu godność, wyposażyła w sprawczość i zainspirowała marzenia. Wpłynęło to na całe jego podejście do przyszłości i zmieniło postrzeganie życia wokół. Odtąd rasistowskie traktowanie nie będzie uznawane za „naturalne”. Pojawi się pragnienie, aby coś zmienić, naprawić, znieść niesprawiedliwe przepisy i prawa. Tych zmian mieliby dokonać członkowie młodej i dynamicznej organizacji. Nie była to wyjątkowa reakcja na przynależność do tej grupy, jak sugerują bowiem liczne świadectwa szomerów, mieli oni podobne odczucia wyzwolenia (choćby chwilowego) z ciężaru dyskryminacji.

„Tu odbywały się nasze zebrania⁷⁸, wygłaszano referaty, co rusz przyjeżdżał ktoś z prelekcją albo odczytem z zaprzyjaźnionych organizacji szomerowskich z Włocławka, z Warszawy, z Kalisza” – wspominała Fira Małemodzon, członkini Haszomer Hacair z grupy poznańskiej, córka

odnoszącego sukcesy biznesmena. „Było nas około stu osób, wszyscy młodzi. Tańczyliśmy horę, czyli taniec, w którym dziewczęta i chłopcy, śpiewając oraz trzymając się za ramiona, krążą w kręgu i przytupują. (...) Tu mówiono nam o sytuacji Żydów w Palestynie! Odbywały się prelekcje na temat naszej historii i kultury. Przychodziły listy z kibuców od tych, którzy już tam wyjechali. Słuchałam tego i budziła się we mnie dumą, że jestem Żydówką! (...) Dotąd byłam związana z poszczególnymi Żydami, których lubiłam, ale więcej koleżanek miałam wśród Polek. W szomerach zaczęłam identyfikować się z Żydami jako takimi. Znalazłam się wśród grona rówieśników i poczułam, że jestem jedną z nich. Gdzieś przynależę⁷⁹.

Bauman w podobny sposób odczuł przynależność do tej organizacji. Nawet religijny ceremoniał przejścia w dorosłość – bar micwa⁸⁰ – który Bauman odbył w wieku 13 lat, nie spowodował odnalezienia się w „swojej grupie”. Tę identyfikacyjną rolę odgrywała Haszomer Hacair, jak deklarował Bauman wiele lat później:

Patrząc wstecz, myślę, że wprowadził mnie w błąd tryb życia, jaki wtedy wiedliśmy, a nie nasze wyobrażenie przyszłego życia – trwały obraz sprawiedliwego świata, o którym odtąd marzyłem i który ścigam po dzień dzisiejszy.

Świat naszych marzeń nazywał się Syjon, nie wierzę jednak, że ta nazwa dotyczyła jakiegoś konkretnego, określonego miejsca, nie o to mnie chodziło. Syjon znajdował się w lasach winiarskich, gdzie po raz pierwszy w życiu doświadczyłem rozkoszy święta Pierwszego Maja w bezpiecznym towarzystwie moich nowych przyjaciół. Syjon to był przedziwny świat bez dręczycieli. Świat, w którym ludzi lubiono lub nie lubiono za to, co robili, a nie za to, kim byli. W Syjonie wszyscy byli sobie równi, chyba że ktoś wolał być inny. Nie było Żydów i nie-Żydów, bogatych i biednych, potentatów i nędzarzy. Każdy miał prawo być szanowany. Z nikogo nie szadzono dlatego, że był inny⁸¹.

Haszomer Hacair miał być przygotowaniem do przyszłego życia. Był poligonem, który uczył, jak być aktywnym i jak konstruować swoje życie, zamiast cierpieć z powodu tego, co stworzyli inni. Jak działać, zamiast być pasywnym. Haszomer dawał lekcję, którą członkowie przyswajali na długo – z deklaracji Baumana wygląda na to, że niektórzy na całe życie.

Przynależność do tej organizacji była punktem zwrotnym⁸², rozpoczynającym proces trwałej transformacji, która dała Baumanowi pasję zmieniania świata na lepsze. Ta zmiana inspirowana była ideałami socjalizmu. Zygmunt Bauman haszomerskimi drzwiami wchodził w dorosłe życie.

W ostatnim roku przed wybuchem wojny Bauman gwałtownie urósł. Stał się wysokim i szczupłym młodzieńcem – do końca życia zachował smukłą sylwetkę. Ten szczęśliwy haszomerski okres w jego życiu trwał bardzo krótko.

We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna.

Z krótkiego, półrocznego zaledwie doświadczenia w organizacji Haszomer Hacair wyłoniłem się jako człowiek zdecydowany zmienić świat. I jako socjalista. I jako smukły młodzieniec. Bo w ciągu tych przełomowych sześciu miesięcy straciłem cały swój tłuszcz. A wkrótce potem swój dom – na zawsze. I swój ojczysty kraj – po raz pierwszy⁸³.